


KRZYSZTOF NOWICKI  
-----  
Redakcja Literacka

391  
Dnia: 22.IV.1971 r.  
Godz. 16.35 - 16.55

" L E L U C H "

-----  
fragment opowiadania

20 IV 1971  
D-9

RA. 

Być może, myślałem teraz, unosiliśmy się przez chwilę w powietrzu, by spadać z rosnącą prędkością, która wywołała tę ciemność i zbiegowisko funkcjonariuszy. Odtąd podróżowaliśmy karetkami pogotowia. Ona na sygnale. Ja ze słowami białego fartucha który stanowczo żądał, bym się poddał kilku badaniom kontrolnym. Człowiek, który leciał w powietrzu o własnych siłach, wymaga staranności, gdy nie został martwy.

Nie byłem martwy, więc nie miałem innego wyjścia z tego oślepienia i ogłuszenia. Nastąpił przecież nagły wybuch, po jakim często zostają tylko strzępy. Z ptaków lecą pióra. Byliśmy jak pierze, przypalone w słońcu Ikary. Tyle, że na dole nie było morza, lecz zwyczajna asfaltowa szosa, na której właśnie pojawił się autobus w kolorze pogodnego nieba.

Kto miał mnie w swojej opiece, myślałem, jeśli żyję. Kto, jeśli nie Leluch. Stróż anioł. Szary staruch. Czekał na to od lat. Wiedział, że się zjawię na skraju tej skarpy, choć sam tego nie

wiedziałem. Tej sierpniowej niedzieli mogliśmy przecież robić tyle innych rzeczy. Pełzłem tam, mimo że zwlekałem - ciągle zmierzałem do tego lasu - pułapki. A Leluch szemrał - idzie rak, nieborak.

Aż znajdzie się w posiadaniu sióstr szpitalnych, szczebiotek i chichotek, białych panien, dziewiczych słodczy, cierpliwie z cierpieniem oswajanych. Bo jeśli Leluch miał jakieś życzenie przed świętym Piotrem, to żeby już nikt w rodzinie nie był sam w nieszczęściu.

Odebrano mi wszystko, co ze sobą przyniosłem, zaznaczając kreskami na specjalnym druku rzeczy, które przy mnie znaleziono. Widocznie człowiek przychodzący do szpitala może mieć mniej więcej to tylko, co ja miałem przy sobie. Kobieta związała to w toboł, po czym wszystko zawisło na łańcuchu, pod sufitem, w pokrowcu z moim numerem.

Zawinałem się w szlafrok. Czekałem. Na korytarzu poczułem chłód idący po nogach. Potem mijałem schody, drzwi, korytarze, mrowiska białych fartuchów i pasiastych szlafroków. Pierwsi byli ważniejsi, bo mieli pod fartuchami własne ubrania, a przynajmniej domowe spodnie. Czekałem przed pokojem sióstr aż jedna z nich

zaprowadziła mnie na wagę. W butach - zdziwiła się, w półbutach -  
 odpowiedziałem. Niech będzie - machnęła ręką. Idziemy na piętnastkę  
 - zdecydowała.

Po chwili otworzyłem ~~te~~ drzwi. Podniosły się z łóżek głowy,  
 dzień dobry, szukałem wolnej pościeli i szedłem tam, mając po  
 bokach samych staruchów, pewnie już opłakiwanych w domu, którzy  
 tu wdychali lizol od tygodni. Kiedy siadałem na łóżku, odwrócili  
 głowy. Położyłem się ostrożnie. Już nabrałem ostrożności dla  
 własnego ciała.

Przyrzekłem sobie nie brać tutaj do serca żadnego nieszczęścia  
 Zostać bezpiecznym wśród zagrożonych, niedościgniętym i nieporu-  
 szonym. Patrzeć na wszystkich jak na ruchome kłębki pościeli.  
 Staruchy jakby wysychały wolno i cierpliwie. Postanowiłem się  
 w to nie mieszać. Wszyscy oni tutaj byli dla mnie jak jedno  
 cierpiące ciało, zawinięte w jedną pościel.

Ledwie doczekałem wczesnej nocy. Słyszałem wtedy usypiające  
 sapanie, nieśmiałe skrzypienie sprężyn, czasem tłumione gdakanie,  
 jakby cząstkę kotłujących się w nich jeszcze rozmów - pożegnań.

Ledwie doczekałem tej nocy między nimi, by zaraz wracać do  
 domu.

Ojciec plątał palce w wełnianych włóknach abażura, matka przy oknie czyściła sztućce. Nasz dom skrzypiał jak pływający okręt, chwiał się i pachniał lasem oraz świeżym ciastem. Dzwoniły ukryte w nim metalowe okucia. Rodzice w mieszkaniu otwartym i pełnym światła nie zwracali na mnie uwagi. Wszedłem do naszego domu w poszukiwaniu drobnych przedmiotów. One właśnie, dopóki istnieją, najbardziej pragną naszego powrotu.

W tę pierwszą noc wszyscy na pewno wracamy do domu. Tak przecież Leluch stanął na progu swego ostatniego w życiu pokoju i patrzył na szyby pokryte szronem, na wyziębiony piec, na stolik przy łóżku, gdzie wietrzało wiele niepotrzebnych już lekarstw. Z tego patrzenia nie mogło wyniknąć nic dobrego. Leluch nie przestąpił progu. Cofnął się w porę, zanim przyszli tu urzędnicy i posługacze: likwidować mieszkanie nieznanego starucha.

Kiedy się już cofnął, pomyślał że nadeszła pora szukać tych, na których czekał przed śmiercią bezskutecznie. Począł ostrożnie podchodzić do naszych domów, naciskać klamki, badać łańcuchy i zamki. Przychodził, choć nie mógł z nami mówić. Dziwił się jak niewiele mamy mu do powiedzenia, jak wątła jest pamięć o jednym człowieku.

W tę pierwszą noc szpitalną wróciłem do domu, by przemykając się jak Leluch, między ojcem i matką, szukać przeznaczonych mi, a zapomnianych przedmiotów. Otwierałem szuflady, różne pudełka, skrzynki, gdzie znajdowałem pokrywkę od drewnianego piórnika, haczyk z kawałkiem żyłki, połówkę szklanego pióra, słoik wyschniętego kleju. Na koniec otworzyłem szafę, w której miał być najważniejszy przedmiot, ale zanim wziąłem go do ręki, poczułem znów ostry zapach lyzolu.

Drzwi naszej sali otworzyły się nagle i ktoś zapalił światło. Do łóżka krzyczącego starucha biegli lekarze, wnosząc ze sobą niespokojny zapach lekarstw. Nie umiałem się zasłonić przed światłem bijącym w nas z sufitu.

Obudzony myślałem o naszym domu, jak się myśli o rzeczy prawie nierzeczywistej. Powiedzmy o szkolnej wycieczce do podmiejskiego lasu, kiedy spośród chudych drzewek, wątkłych zagajników podpatrywaliśmy dziewczęta, popiskujące bezmyślnie wokół wychowawczyni. Na leśnych drogach jechali wolno jacyś rowerzyści.

Próbowałem znów zasnąć, ale dalej raziło mnie światło.

401

To siostra pochyliła się nad staruchem ze strzykawką. Mrużąc oczy patrzyłem na jej ciało opięte fartuchem. Pomyślałem, że ona zupełnie nie przejawia się naszą obecnością. Wszystkich bierze jednakowo za chłopców - nienależnych w oczach staruszków. Takich więc wypalonych chłopców, niemocnych, żądnych.

Kiedy został sam, złożył ręce ostrożnie, jakby między palcami chciał zatrzymać wymykające się ciepło. Potem patrzył już pogodnie na przeciwległą ścianę. Nie zwracał uwagi na nikogo. Nawet na tych dwóch, którzy po śniadaniu zbierali z talerzyków resztki chleba, po czym otworzyli okno i sypnęli okruszyny na parapet. Usłyszeliśmy łopot skrzydeł i stukanie dziobów o zaokienną blachę. Prawie wszyscy patrzyli w tamtą stronę z uwagą. Jeden z nich zachrypiął zachłannie - o tej porze lubię iść na grzyby.

Spodziewałem się, że teraz każdy z nich zanurzy się w swój las, będzie się skradać po zagajnikach, grzebać we mchu. W chwili obudzenia podniosą oczy na tę biel szpitalną. W ustach znajdą smak metalu, jakby po lekkiej, popołudniowej gorączce.

Wyszedłem na korytarz popatrzeć na siostry, białe skowronki, ranne ptaszki nasze, młódki dzielne i zręczne, a przecież nie takie próżne, cudaczne, jak myśleli najstarsi pacjenci.

Wyszedłem popatrzeć jak się zwijają z tacami, naczyniami, papierzyskami. Jakby stewardessy, z natury których jest obiecywanie. Siostry-skowronki już pewnie wiedzą, co można zrobić z mężczyzną, potrafią zapadać w sny staruchów i może im się zdarzyć w nocy to, co nad ranem prześladowuje rześkich chłopców.

Chciałem zrozumieć, dlaczego za małe pieniądze zamknęły się w obłokach lyzolu zamiast w chmurach, w skrzydlatych przebiegłościach i prowokacjach. Czyżby wołały jak gołąbki fruwać pod powiekami staruchów, tam śmigać po polach, leśnych polanach? Czyżby wołały sprzyjać tym kłębkom niemocy, zastępować im kogoś, kto jest nie do zastąpienia? Zadziwiający są w tych miejscach dziecinne twarzyczki. Pewnie im się zdaje, że krążą wokół zimowej choinki w poszukiwaniu słodyczy. A tę biel chemiczną, w której jesteśmy, biorą za śnieg grudniowy.

Już młodsze od nas, dziecinne twarzyczki. Prawnuczki staruchów. Skowronki, niebieskie duszyczki dwoją się i troją przy łózkach, które każdego dnia mogą osłonić parawanem. Wydaje się, że będą dbały nawet o świeczki zapalone w odległych domach dzieciństwa, będą podsycać te słabnące płomyki.

Żaden ze staruchów nie zdąży stanąć na obie nogi. Którą-  
 kolwiek rozpocząłby swoje wstawanie z chorych: lewą czy prawą.  
 Po co się tak męczą, skoro i tak nikt z nich nie wyjdzie stąd  
 cało. Nikt z chorych nie wstanie, choć każdemu świta to w głowie:  
 ozdrowieńczy świerkot pod czaszką. Patrzą na wzajemne pogorszenia  
 najpierw z lękiem, a potem z ulgą.

Bywa, że mają coś do powiedzenia, coś tak gwałtownego, że  
 się duszą od słów wzbierających w gardle. Jedna z najmłodszych  
 sióstr podbiegła do łóżka starucha, żeby się zbierał, bo ma  
 zamiejscowy telefon. Od syna. Spojrzał z triumfem na resztę  
 staruchów. Wolno szukał pantofli, zaplątały mu się rękawy  
 szlafroka. Siostra stanęła znów w drzwiach - prędeej, bo rozłącza,

Niewiele czasu minęło, a już wracał skruszony, prowadzony  
 przez siostrę do ciepłej pościeli. Przemagając świszczący oddech  
 bronił się przed nią - przecież nie zdążyłem nic powiedzieć,  
 a on wołał: ojciec, ojciec jak się czujesz. Zauważyłem, że  
 pozostali oddychali z ulgą i patrzyli z satysfakcją.

Znów było spokojnie, powrócili do swego umierania.



Poczęła się popołudniowa ociężałość, smętne skrzypienie łożek, zapadanie w szare, deszczowe łąki.

Zobaczyłem podnoszące się z ziemi stado ptaków o wydłużonych, popękanych dziobach. Szerokie skrzydła furkotały w powietrzu. Ptaki miały ludzkie twarze, oczy świecące gorączką. Unosiły się ciężko nad łąkami, w jesiennej szarości, gubiąc pióra, które służyły chłopcom do zabawy w Indian. Wspinały się w powietrzu na wysokość drzew, a gdy któryś z nich dotknął wierzchołka - zmieniał się w chłopca, który zastygł nieruchomo, jakby obawiając się kruchości gałęzi.

Pośród nich najciemniejszym ptakiem był Leluch. Leciał nisko, prawie zahaczał skrzydłami o gałęzie, a nawet o trawę. Kiedy inni zmieniali się w chłopców, on nie mógł się pozbyć skrzydeł, które mu wyrastały zamiast rąk. Był tym zmieszany.

Myślałem, że zbierał się, jak inni, do odlotu przed zimą. Ale coś się w ptasiej naturze pomieszało. Zamiast być ptakiem pozostał w połowie chłopcem, w połowie zaś wroną czy jaskółką. Nadto leciał w gimnazjalnym mundurku, więc pozostali krakali ostrzegawczo. Leluch coraz częściej zbaczał z drogi aż został sam na łące.

Na metalowych guzikach mundurka pojawił się osad szronu. Widocznie co roku jeden z odlatujących staruchów zostawał tutaj: pół ptak, pół chłopiec.

Taka była ostatnia zima Lelucha. Zrozumiał, że tak umierają mężczyźni, marznąc na kość. Może wtedy wypatrują tych, co przyjdą po nich. Zdawało mi się, że słabnący z zimna Leluch przyjrzał mi się uważnie. Przyjrzał mi się, kiedy go śniłem.

Jestem tutaj, by zmyć hańbę Lelucha. Być z nim w przepastnych pościelach. Pozwolić, by wreszcie opuścił wierzchołek ośnieżonego drzewa i spoczął. Przyszedłem zapalić świeczkę na niewiadomym grobie zhańbionego starucha.

Skazał na wygnanie babkę i - jak mówiła moja matka - oszukał nas wszystkich, wyprowadził w ośnieżone pole. Dlatego nikt się nad nim nie zlitował, kiedy umierał w zimowym pokoju. A czyż on o kimś pomyślał? - pytała moja matka, a jego córka. Kiedy to mówiła, wiedziałem, że jednak kogoś wybrał w tajemnicy przed innymi. Spośród nich wszystkich mnie wypatrzył. Nie mogłem zawieść Lelucha. W źrenicach grzesznego starucha był mój los zapisany.

Jednak ustawili parawan, żeby ukryć pogorszenie starucha przed nami, rozwinęli ten namiot na to jego ostatnie wojowanie z powietrzem. Wtedy poczęło się rodzinne rozgorączkowanie. Najpierw drzwi otworzyła kobieta z puszystym kołnierzem, trzymając przed sobą błyszczącą torebkę i składany parasol. Zatrzymała się jednak na progu z twarzą wyspaną i jakby świeżo natłuszczoną, po czym cofnęła się gwałtownie może na widok parawanu, cofnęła się w poszukiwaniu pomocy.

Po chwili jednak zajrzała znowu, przykazując komuś zostać na korytarzu, prowadzona przez mężczyznę w jodełkowej jesionce o wypchanych ramionach, z plastikową teczką - dyplomatką. Posuwali się wolno, jak się idzie po lodzie. Gdy schowali się za parawanem, usłyszałem stłumione głosy przybyłych i domyśliłem się, że nadśluchują tej ciszy, jaką staruch przerywa ciężkim, pracowitym sapaniem. Widziałem ich cienie na płótnie. Stamtąd nadeszło szemranie, a w chwilę później przynoszące ulgę chlupanie kobiety i parę słów mężczyzny powiedzianych jakby przez nos.

Znów okazało się, że każdy musi pójść zimowym śladem Lelucha, bo jest w nas wszystkich utajona ta godzina zupełnego opuszczenia, kiedy się tylko z przyszłymi gada.

Tak właśnie Leluch porozumiał się ze mną, zanim się urodziłem. Przez to wiedział, że wraz z nim jeszcze nie wszystko przepada, że jeszcze nie cały świat idzie na dno.

Nikt z nas, leżących na piętnastej sali, nie weźmie udziału w pożegnaniu starucha z za pawawanu. Nasza wspólnota była jak kontakt podróżnych w przedziale dalekobieżnego pociągu. Nasza wspólnota - to było tylko czerpanie tego samego powietrza, wypatrywanie tych samych ptaków na szpitalnym parapecie. Nic więcej, bo nawet siostry-jaskółki, białogłowy, widzieliśmy po swojemu jak tańczyły po sali, między rzędami współprzymkniętych powiek. -